

# Słońce, woda, piasek...

**Cel** – Austria – Kendlspitze, Grosser Muntanitz, Kleiner Muntanitz – zdobyte

**Kiedy** – wrzesień 2016

**Kto** – Dziku & Dawid & Daniel & Dawid

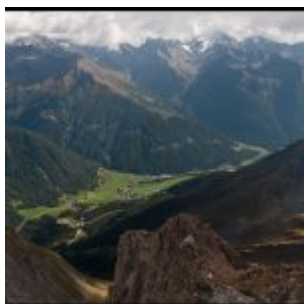
**Tekst i Zdjęcia** – Dziku



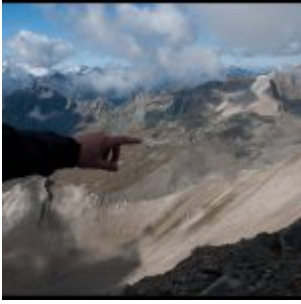
Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejście z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.



Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

Jak już wspomniałem w [poprzednim artykule](#), zaledwie 2,5 tygodnia po urlopie z Agą i Michałem w Kals, znów wróciłem w te rejony, lecz tym razem był to wypad ekspresowy. Zdaję sobie sprawę, że prawie każdy wyjazd, który opisuję, jest opisywany przeze mnie jako „szybki”, „krótki”, „ekspresowy” itp. itd. Tylko, że ten był naprawdę rekordowy pod tym względem! Wyjechaliśmy mianowicie w piątek o 20:00, w sobotę weszliśmy na jedną górę, w niedzielę weszliśmy na drugą górę, zeszliśmy i wróciliśmy do domu koło 2:00 w nocy z niedzieli na poniedziałek. Taki był zresztą cel wyjazdu, żeby pokazać, że wejście na 3-tysięcznik nie jest czymś zarezerwowanym tylko dla wybrańców. Warto tu dodać, że oprócz mnie, czyli Dzika (1D), udział wzięło dwóch kolegów z pracy: Daniel (2D) i Dawid (3D), dla których był to pierwszy wyjazd w Alpy. Dołączył do nas po drodze drugi Dawid (4D), którego mogę już śmiało nazwać stałym członkiem ekipy.

Do Glanz (1500 m) koło Matrei dojechaliśmy wcześniej rano i koło 6:00 ruszyliśmy na szlak w kierunku Sudetendeutschen Hütte (2665 m). Zgodnie z opisem powinno nam to zająć 4h i w takim też czasie udaje nam się tam dostać. Wprawdzie 2 nowych chłopaków mało ducha nie wyzionęło, ale jednak czapki z głów, że dali radę pomimo ciężaru plecaków (paręnaście kg dla osoby, która nie wędrowała z plecakiem robi różnicę). Do schronu dotarłem pierwszy, po czym ogarnąłem legowiska, oporządziłem się co nieco i poczekałem z aparatem na chłopaków. Chciałem ich wymęczonym twarzom zrobić zdjęcia, sam nie wiem po co, może by mieli pamiątkę z pierwszego marszu po Alpach, a może

były to jakieś dotychczas ukryte, sadystyczne predyspozycje. Przypuszczam, że właśnie za te zdjęcia, oraz za to, że kilkakrotnie powtórzyłem, jak ostatnio w 4h wszedłem na szczyt zostałem pokarany. Już w schronie poczułem się źle, więc położyłem się spać. Chłopaki również potrzebowali tego odpoczynku, ale prawdopodobnie bym się tym nie przejął, gdybym sam czuł się perfekcyjnie. Po 45 minutowej drzemce wcale nie poczułem się lepiej.

Wyruszyliśmy ze schronu z zamiarem osiągnięcia dwóch 3-tysięcznych szczytów. Jednak u stóp Gradötzkogel (3063 m), czyli zaledwie paręnaście minut od schronu już miałem kryzys. Zdecydowaliśmy się pójść od razu na Kendlspitze, jako, że jest wyższy i wygląda na ciekawszy cel. Jak chłopaki tym razem nie pokazali po sobie żadnego zmęczenia i szli dzielnie pod górę, tak ja znalazłem się w kupce po uszy. Coś jak czasem Michałek w domu, jak się pielucha przepełni. Wlokłem się zupełnie bez sił i nawet nie robiłem dobrej miny do złej gry. Na tym samym podejściu, na którym niespełna 3 tygodnie wcześniej skakałem jak kozica, dziś błagałem w duszy, by chłopaki poszli beze mnie i pozwolili mi siedzieć bez ruchu na kamieniu. Ale pewnie bym nie usiedział długo tylko uciekł do schronu, na pryczę.

Wówczas nie byłem w stanie filozofować, ale potem dotarła do mnie taka myśl: możesz zdobyć górę, możesz to zrobić w rekordowo szybkim czasie, może wejść wyjątkowo trudną drogą, możesz to zrobić bez jedzenia, picia, albo nocą bez czołówki. Ale w żadnym z tych przypadków nie możesz powiedzieć, że daną górę pokonałeś. Bo po żadnym z twoich wejść góra nie stanie się ani odrobinę słabsza, niższa, czy mniej stroma. Za to, jeśli góra ciebie pokona, to możesz mieć kłopot. Możesz coś złamać, możesz coś odmrozić, a może też skończyć się większym dramatem. Obrazuje to sytuacja, w której się znalazłem: czas, w jakim pokonałem pewien dystans pewnego dnia, dotyczy tylko tego określonego dystansu w tym określonym czasie i jest związany ściśle z moim samopoczuciem, moją kondycją fizyczną i psychiczną, pogodą i nie wiem czym jeszcze, ale tylko tamtego

dnia, nie dziś, nie za tydzień i nie za rok.

Wracając pod Kendlspitze – siedzę na kamieniu i czekam, aż chłopaki powiedzą, że pójdą sami. Nawet pozwalałam sobie otwarcie im to zaproponować. Wtedy słyszę od Dawida: „to zostaw sobie tu plecak, będzie ci lżej”. Szlag by trafił, nie o to chodziło, ale zostawiam plecak i sunę do góry. Wdrapujemy się na przełęcz, robię zdjęcia, choć nie mam ochoty. Chcę przekazać aparat i zostać tu. Nie potrzebuję być znowu na tym szczycie, a tymczasem znów słyszę coś, co sugeruje, że powinienem iść z nimi. Pewnie, że powinienem, w końcu mam ich pod opieką, a przynajmniej dwóch z nich. Tylko co zrobić, kiedy mam problem z otwarciem oczu, wiem, że jakbym się tu położył na kamieniach to natychmiast bym zasnął. Samo czytanie tego może bardzo zmęczyć, więc streszczę finałowy przebieg: weszliśmy całą czwórką na szczyt i zeszliśmy również razem. Świetną pracę wykonał za mnie Dawid, który pomagał chłopakom, podpowiadał, gdzie postawić nogę, gdzie się przytrzymać. Co najważniejsze – poczekał na nich, kiedy była potrzeba. Jakby tego było mało, Daniel przejął ode mnie plecak. Do schronu dotarłem zataczając się, powłócząc nogami i ledwo utrzymując otwarte powieki, czyli w stanie, który zaczynał być mocno niepokojący. Wszyscy padliśmy na prycze i zasnęliśmy.

3 godziny później wybudziłem się z majaków, jakie się miewa w wysokiej gorączce i chrypiącym głosem próbowałem przekonać chłopaków, że rano powinni wyruszyć na szczyt sami. Zupełnie nie widziałem się następnego dnia w górach. Niestety argumentowali, że nie mogą mnie samego zostawić, a to dobijało mnie jeszcze bardziej. Obiecałem sobie, że na zawsze zapamiętam ten stan, kiedy jest się najśłabszym ogniwem i będę wykazywał w górach więcej empatii.

Kletterweg na zboczu Kleiner Muntanitz

Rano obudziłem się jak nowo narodzony. Słaby (dziecko po urodzeniu też nie wykazuje atletycznej formy), ale z tendencją

do poprawy. Tym samym nie było powodu, by nie wyruszyć na najwyższy szczyt w grupie Granatspitzgruppe – Grosser Muntanitz (3232). Był to pierwszy raz, kiedy trasa na szczyt prowadziła w głębokim piasku. Nie mówię o piargach czy drobnych kamieniach. Szliśy po autentycznym piasku i pół żartem rozważałem założenie stuptutów. Poza piaskiem w butach nie napotkaliśmy żadnych trudności i szybko znaleźliśmy się pod szczytem Kleiner Muntanitz (3192 m). Tu jest krótki fragment ferraty, na którym przy oblodzeniu lub śniegu warto założyć raki. Schodzimy tym ubezpieczonym linami kominem i potem, znów łagodnym grzbieciem przypominającym szlaki w Sudetach wchodzimy na Grosser Muntanitz. Cel główny osiągnięty w doskonałym czasie (około 2,5 h). Po serii pamiątkowych zdjęć znów podchodzimy pod komin z ferratą. Wspinamy się nim na górę i przeskakując kilka kamieni stajemy na Kleiner Muntanitz. Żał było nie „zdobyć” tego wierzchołka, to dosłownie kilka kroków od ścieżki. W pełni usatysfakcjonowani i w znacznie lepszej formie (tyczy się to nas wszystkich) wracamy do schronu. Po drodze słyszę, jak Daniel mówi: „czuję się jak w ciepłych krajach”. W rzeczywistości, pogoda i warunki są nie tyle letnie, co wręcz jakieś afrykańskie. Tak wyobrażam sobie góry w Maroku, ewentualnie Sierra Nevada w Hiszpanii. Tymczasem jest to końcówka września w Alpach, a my skąpani w słońcu schodzimy piaszczystym zboczem do schronu położonego nad jeziorkiem. Stąd „Słońce, woda, piasek...” w tytule. Jedynie betoniarki brakowało.

Wczesnym popołudniem ruszyliśmy w dół, do naszego Audi – model „Ryan-Air”, podkuliliśmy kolana i pojechaliśmy do Polski.

-END-

---

# Niemcy – Zugspitze

Cel – Zugspitze (2964 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – sierpień 2007

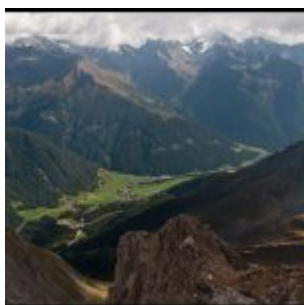
Tekst i zdjęcia – Dzik



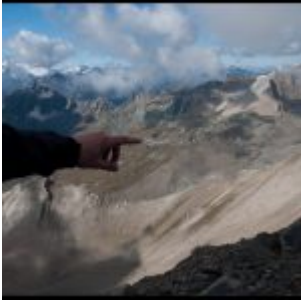
Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejście z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.





Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

---

Dziku'2016: Poniżej relacja z sierpnia 2007 roku. Zugspitze był moim 7-mym szczytem Korony Europy, lecz pierwszym położonym w Alpach. Wciąż w amatorskim stylu: bojówki, bawełniane podkoszulki i odciski na dłoniach. A odciski stąd, że pierwszy raz kijków używałem i pętli nadgarstkowych nie używałem, za to bardzo mocno ścisnąłem rączki. Jednak doświadczenia bezcenne, szczególnie jeśli chodzi o lodowiec, który widziałem po raz pierwszy w życiu. Serce mocniej mi biło przechodząc koło niegroźnych szczelin i widząc na nogach nowiutkie raki. Za to mój zestaw do asekruracji był lekko niedopracowany. Koniec liny przechodzącej przez płytkę z otworami chowałem do kieszeni, zamiast przywiązać do uprząży. Więc nie wiem, jak by się to zachowało w przypadku odpadnięcia ale prawdopodobnie zawisłbym jedynie na płytce, a to na pewno nie jest jej przeznaczenie.

Relacja bez zmian, jedynie w ramach transferu ze starej, niedziałającej strony przebrałem raz jeszcze zdjęcia i krótki filmik dorzuciłem.

---

## **Dzień 1 – Höllentalklamm – zwiady**

Moją bazą wypadową przez te kilka dni było pole namiotowe w Garmisch-Partenkirchen Grainau. I tu w środę zostałem (na własne życzenie) pozostawiony przez przyjaciół jadących na te parę dni do Innsbrucka. Kamping położony jest na wysokości ok.

700 m n.p.m., tym samym aby wdrapać się na Zugspitze do pokonania było ponad 2200 metrów przewyższenia. No i przydałoby się jeszcze wrócić, a uparłem się żeby nie korzystać z kolejki i na dodatek nie schodzić tą samą drogą. Na najwyższy szczyt Niemiec udało mi się wejść dopiero ostatniego dnia wycieczki.

A pierwszego dnia pokonałem sobie tylko małą część drogi, docierając do wejścia do wąwozu Höllentalklamm (nie wiedziałem jeszcze, że będę tam chodził codziennie – w sumie 4 razy). Pozachwycałem się też widokiem szczytów pasma Wettersteingebirge z drogi na Kramerspitz – takiej niemieckiej Gubałówki, tylko wyższej.

## **Dzień 2 – Próba nr 1**

Dzisiaj to mogłem już przyatakować szczyt i mieć z głowy, ale jakoś nie wyszło. Niby to zabłądziłem, niby to mgła straszna, niby to pogoda taka nie bardzo, no po prostu nie wyszło i już. I dobrze. Bo o 14 zaczęła się jakaś bawarska pora deszczowa, która zastała mnie nie wysoko w górach ale 50 metrów od Aldika (znajdującego się naprzeciwko pola namiotowego), gdzie zaopatrzyłem się w uzupełniacze płynów.

Obudziłem się po paru godzinach na prawdziwym wodnym łóżku. Każdy ruch powodował falę wypływającą spod namiotu i uderzającą o najbliższy „brzeg”. Jakkolwiek hipernieprzemakalny Piesek Leszek prawdopodobnie przetrwałby noc nawet zatopiony w jeziorze i obciążony kamieniami, to falująca podłoga przyprawiała mnie o chorobę morską.

Po dłuższej mobilizacji, a dokładniej – po udaniu się do kibelka – postanowiłem zadziałać. Akcja była krótka lecz efektywna. Niezbędnymi do powodzenia operacji były następujące działania:

1. wyjście z plecakiem z namiotu
2. wyciągnięcie szpilek sztuk 12
3. przesunięcie namiotu o parę metrów w miejsce gdzie

głębokość wody nie przekracza 5 cm

4. wbicie szpilek sztuk 12

5. wejście z plecakiem do namiotu

6. wypicie browarka

### **Dzień 3 – Próba nr 2**

Do 6:30 pada. Potem lecę do góry. Niestety pogoda nie poprawia się ani troszkę. Po dotarciu do wejścia do Höllentalklamm pan w okienku odradza wyjście na Zugspitze w taką pogodę. Mówi, że „tomorrow better”. No dobra, zatem „see you tomorrow”, no bo co? Miejscowym mam nie ufać? W drodze powrotnej obłazą mnie salamandry. Jutro ostatni dzień i ostatnia szansa.

Po „spacerze” do schroniska pod szczytem Kramerspitz upewniam się, że podane czasy przejść na tabliczkach czy drogowskazach mogę dzielić przez 2.

### **Dzień 4 – Do trzech razy sztuka**

O świcie wylatuję z namiotu. Po 7 godzinach marszu i łatwej wspinaczki (stalowe liny, kłamry i pręty były prawie przez całą długość trasy) stałem na szczycie. Widoczki ładne ale ten betonowy moloch na wierzchołku i tłumy ludzi, które wjeżdżają kolejkami – ech...

Przy schodzeniu zaczęły się przysłowiowe schody. Miałem serdecznie dość. Poza mną nikt nie schodził tą drogą do Garmisch. Widać inni wcześniej zauważyli że jest to trasa raczej na 2 dni. Tak więc grzałem samotnie w dół przez dolinę Reintal. Nachylenie na większości trasy bardzo małe, ale długość drogi jaka mnie czekała powodowała że byłem coraz bardziej spękany. Już miałem wizję jak biegam z czołówką nocą po Alpach. Po paru godzinach szybkiego marszu albo błyskawicznego zsuwania się po stromych piargach zacząłem bawić się w grę „wieviel stunden, czyli zapytaj Niemca jak daleko do Garmisch”. Mijając takiego Niemca zmierzającego w górę do któregoś z pobliskich schronisk zagadywałem o czas

dojścia do miasta, po czym obserwowałem jak cmoka i kręci głową a następnie słyszałem bardzo niezadowolającą mnie odpowiedź. Gdy o godzinie 17 koleś powiedział, że czeka mnie jeszcze 5 godzin marszu to już było niepokojące (o 20:30 zachód słońca). Ale gdy godzinę później usłyszałem od innego turysty że jeszcze 6 godzin, to ledwo się powstrzymałem żeby go nie dziabnąć kijkiem w lewe oko. Dodatkowo miałem świadomość, że czeka mnie jeszcze kilkukilometrowy marsz przez miasto do pola namiotowego na drugim końcu. Dzięki kijkom trekkingowym, które jakimś cudem się nie rozpięrdzieliły, zacząłem sadzić 7-milowe kroki.

Pod koniec trasy miałem wielkie szczęście spotkać bardzo miłą parę Niemców, z którymi idąc jeszcze ok. 1,5 godziny dotarłem do skoczni narciarskiej, już w Garmisch-Partenkirchen. Tam mieli oni zaparkowany samochód, i mimo tego że było im to zupełnie nie po drodze zawieźli mnie przez całe miasto na pole namiotowe.

A na wejściu na kamping przywitał mnie „Quechua Team” – 4 osobowa przesympatyczna ekipa z Wrocławia, koło której przed paroma diami miałem szczęście się rozbić i ich poznać. Piwo i kolacyjka, którymi natychmiast mnie poczęstowali, były czymś wspaniałym, szczególnie po 15 godzinach marszu i wspinaczki. Tylko trochę dziwnie mogli na to popatrzeć Niemcy którzy mnie przywieźli. W końcu po drodze mówiłem im jak to jestem tu sam i jak to marzę tylko o herbacie gdy już dotrę do namiotu.

Podsumowując króciutko, to wyszedłem z „domu” o 6:15, wróciłem jakoś tak w godz. 21-22. Wg mapy wyszło mi, że przebyty dystans w poziomie to ok. 30 km (gdyby nie wyżej wspomniany autostop byłoby jeszcze co najmniej +5 km). No i to rekordowe jak dotychczas przewyższenie.. 2200 m w górę i 2200 w dół. Lepszym rozwiązaniem byłoby przenocować w którymś ze schronisk po drodze. Wtedy na drugi dzień podziwiałbym dolinę Reintal, a nie jej nienawidził.

**Dzień 5 – Szaleńcy z Austrii**

W niedzielę podjechali po mnie nieocenieni: organizator wycieczki Paweł, kierowca bolida Kasia, i pilot kierowcy Laura. Ich pobyt w Austrii był również w 100% udany.

Ok, na ten weekend wystarczy. Oby takowych jak najwięcej.

– END –

---

# Kendlspitze

**Cel** – Austria – Kendlspitze – zdobyty

**Kiedy** – wrzesień 2016

**Kto** – Dziku

**Tekst i Zdjęcia** – Dziku



Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejście z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.



Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

Relację z wypadu na Kendlspitze w Wysokich Taurach załączam z dwóch powodów:

- 1) żeby pokazać, jak szybko i łatwo można wejść na 3-tysięcznik,
- 2) żeby pokazać, jak bardzo można się przejechać, kiedy się w to ślepo uwierzy.

Tak więc najpierw się pochwalę, a potem pożałuję.

Kendlspitze to góra składająca się z dwóch wierzchołków: wysokiego na 3085 m n.p.m. Vordere Kendlspitze oraz nieznacznie niższego Hintere Kendlspitze. Oznakowane szlaki prowadzą z Kals i z Matrei i nie przedstawiają trudności technicznych. Doświadczeni wspinacze mogą pokusić się o wejście granią, którą poprowadzona jest droga wspinaczkowa (bez sztucznych ułatwień). Drogę na szczyt można sobie znacznie skrócić poprzez dostanie się na grzbiet kolejkami, które poprowadzone są z obydwóch miasteczek.

Wskazówki, co do wejścia od strony Kals opiszę w formie relacji:

Z Glor na wysokości ok. 1380 m wychodzę o 5:30, czyli jeszcze

przed wschodem słońca. Przez następne pół godziny idę asfaltem przez miasteczko. Ciemności powoli ustępują, kiedy dochodzę do dzielnicy Taurer na wysokości 1500 m (do tego miejsca można też dojechać samochodem). Ale od tego momentu szlak prowadzi już cały czas stromo pod górę. Najpierw przez las, potem trawiastymi zboczami, lecz bez żadnych niedogodności. Częściowo idę szeroką drogą, częściowo ścieżką. Co istotne – ukształtowanie terenu pozwala szybko zdobywać wysokość. Imponującą ścianę Kendlspitze mam przez cały czas przed oczami. Odbiera to nieco pewności siebie, gdyż trudno sobie wyobrazić, że można tam wejść ot tak sobie, prosto z ciepłego łóżka. Myk polega na tym, że wchodzi się na przełęcz i potem obchodzi tę górę od drugiej strony, najpierw trawersując ścieżką strome, trawiaste zbocze, a potem po stoku usłanym kamieniami. W ten sposób dochodzę do przełęczu pomiędzy dwoma wierzchołkami i skręcam w prawo. Fragmentem grani, dosyć stromym i eksponowanym, ale ubezpieczonym stalowymi linami wchodzę na szczyt. Patrząc na zegarek – 9:30. Od pensjonatu na drugim końcu miasteczka szedłem równo 4 godziny. Od parkingu w Taurer – jedynie 3 i pół. W tym czasie pokonałem ponad 1700 metrów przewyższenia.

#### Widok z Kendlspitze

Dobre tempo powoduje, że chciałoby się czegoś więcej. Spoglądam na pobliski Gradötzkogel (3063 m), potem na wierzchołki Muntanitz – ten wyższy ma 3243 m i jest najwyższy w tej grupie górskiej. Przede mną cały dzień... w głowie przeliczam czasy, wysokości, odległości. Chcę chociaż spróbować, więc schodzę nieco z Kendlspitze i podchodzę w kierunku Gradötzkogel. Widzę, że muszę oddać nieco wysokości, by potem znów ją odzyskać. Do tego teren nie wygląda na najłatwiejszy, trochę stalowych drutów, będzie ciężko tu nadrobić czas. W tej sytuacji odpuszczam i nie mam wątpliwości, że była to jedyna właściwa decyzja. Wracam do pensjonatu szlakiem przez Baluspitz i szybko zaczynam żałować



wyboru tej drogi. W ciągu 4 dni schodzę tę samą drogą już 3-ci raz i czuję się tym znużony. Ale cierpliwie tracę wysokość i zbliżam się do miasteczka. Może uda mi się jeszcze dogonić Agę z Michałkiem, którzy wybierali się w góry po przeciwległej stronie doliny?

Po paru godzinach jestem z powrotem pod pensjonatem. Nie mam ochoty się już ruszać. Tylko, że drzwi są zamknięte a ja nie mam kluczy, kolejna rzecz to to, że ja tu siedzę na betonie a Michałek gdzieś tam, u góry, pogoda piękna, zjadłem wszystkie kabanosy... Dość siedzenia! Zostawiam plecak i na lekko ruszam w górę. Szlak biegnie najpierw w dół, do koryta rzeki, potem przez mostek i następnie bardzo stromym stokiem pod górę, więc znów błyskawicznie zdobywam wysokość. W niecałe 40 minut pokonuję 450 metrów przewyższenia i wychodzę tuż koło chatki z tarasem. Na tarasie wózek dziecięcy, a w nim śpi sobie mój syn. Na piecu gotuje się dla mnie woda na kawę. Cóż za sielankowy nastrój! Ale to już opisywałem [tutaj](#).

A co z punktem drugim, czyli klasycznym sponiewieraniem i pokazaniem, gdzie w starciu z górami moje miejsce? O tym, jak zaledwie 2,5 tygodnia później dostałem na tej samej górze wciury [napiszę osobno](#).

-END-

---

# Niemowlak pod Grossglocknerem

**Cel** – Wysokie Taury z niemowlakiem

**Kiedy** – wrzesień 2016

**Kto** – Dziku & Aga & Michałek

**Tekst** – Dziku

## Zdjęcia – Dziku

### Z niemowlakiem w Alpy?

Czemu nie. Tym bardziej, że odpowiedź na pytanie z tytułu znajduje się w poniższym artykule.

O tym, czy pojedziemy z małym w Alpy zastanawialiśmy się już wtedy, jak był w brzuchu. Właściwie to „była”, bo w tamtym czasie przekonani byliśmy, że to dziewczynka będzie. Nawet imię z literek Aga na ścianie powiesiła: Blanka. Jakżeby inaczej, skoro ten mały pasażer w pierwszych tygodniach życia zaliczył z nami Mont Blanc na gapę. Jak się już po urodzeniu okazało, że to syn, to z tych literek próbowaliśmy coś męskiego ułożyć. Wyszło nam np. Baklan, ale brzmiało zupełnie do bani. Wszyte literki poszły na strych i tam poczekają na córę. Imię Bianco (wchodziliśmy na MB od włoskiej strony) też nie przeszło głosowania. Nie spodobał się również ani Everest ani Parbat (wtedy córka dostałaby imię Nanga). I tak – kończąc już ten długi wstęp – stanęło, że syn będzie miał na imię Michał.



Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejście z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.



Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

Dziecko do wyjazdu przygotowaliśmy już wcześniej. A właściwie to bardziej siebie, niż dziecko. Etap ciąży się nie liczy. Zresztą te parę 4-tysięczników z lipca i sierpnia było zdobywane w nieświadomości, ilu nas tam naprawdę wchodzi. Przypominam sobie mój tekst do Grześka, kiedy to Aga zasnęła na kamieniu na podejściu na Mount Pelvoux (po zejściu z Barre des Ecrins i Dome de Neige).

*– Grzechu, ja z nią tyle po górach chodzę, ale takiego spadku sił to u niej nie pamiętam...*

Gdy już po powrocie zostaliśmy uświadomieni, stwierdziliśmy, że młody będzie miał dożywotnią aklimatyzację. Jak Obelix, co to za młodu wpadł do gara.

Co z faktycznymi przygotowaniem? Na pierwszy strzał, z okazji ukończenia przez Michała 4-go tygodnia poszła Ślęza. Dobry test dla logistycznych rozwiązań. Wjazd wózkami, zejście w chuście. Poszło gładko, dlatego tydzień później za cel obraliśmy Wielką Sowę. Tu trzeba było wsparcia. Szczególnie początkowy odcinek – kamienisty i stromy – wymagał pomocy Pawła. W takich miejscach wózek we dwójkę przenosiliśmy.

Wiedzieliśmy już, że nie ma problemu na szlakach, o ile za dużo kamieni nie ma. Gładko też idzie podczas transportu autem. Przynajmniej do tych 2 godzin w jedną stronę. Ale co będzie, kiedy trzeba będzie jechać godzin 11? Aby to sprawdzić udaliśmy się na urlop na Mazury. I znów Michałek doskonale zniósł podróż, a podczas niej karmienie i przewijanie na parkingach. To nas dodatkowo zachęciło, żeby zabrać go na najwyższe wzniesienie na Litwie. To była ta jednodniowa wycieczka, którą króciótka opisałem [tutaj](#).

Wraz z końcem sierpnia byliśmy gotowi skorzystać z dokonanej (znacznie wcześniej) rezerwacji w pensjonacie w Kals am Großglockner. Było to stresujące przedsięwzięcie, ponieważ do tej pory sypialiśmy w namiocie na lodowcu, a teraz mieliśmy mieć pokój z łóżkiem. Nie mieliśmy pojęcia, czy sobie z tym poradzimy.

Podróż w tamtą stronę podzieliliśmy na 2 części, bo była to doskonała okazja, żeby odwiedzić przyjaciół pod Monachium. Na drugi dzień od wyjazdu z Polski zameldowaliśmy się w dzielnicy Glor w Kals. Już sami właściciele okazali zaskoczenie (nie)wielkością bobasa. On już wtedy przecież całe 4 miesiące miał skończone. Takich zaskoczonych ludzi, szczególnie na szlakach, jak się możecie domyślać, spotkamy jeszcze wielu. Wrzuciliśmy graty do pokoju i jeszcze popołudniu ruszyliśmy szlakiem w kierunku Lucknerhaus. Tego dnia dotarliśmy do wysokości ponad 1700 metrów i zawróciliśmy. Już wiemy co chcieliśmy wiedzieć – na pewno da się.

Poniżej opiszę w formie relacji kilka tras, pięknych widokowo, jednocześnie dostępnych dla wózków.

## **01.09**

Kals (1325), Großdorf (1364), Taurer (1500) – Wycieczki między tymi miejscami są o charakterze mieszanym – przyrodniczo-miejskim, są dobre na rozruch. Trasa 38 jest już bardziej dzika i prowadzi z Glor (1385) na Hängebrücke (1420). We wszystkich tych miejscach są bezpłatne parkingi.

## **02.09**

Tego dnia udajemy się szlakiem nr 702B do Lucknerhaus. Masywna sylwetka Grossglocknera majaczy przed nami. Na wysokości niemal 2100 metrów decydujemy się zawrócić. Stroma, ale gładka, dojazdowa droga doprowadziłaby nas do Lucknerhutte, jednak odpuszczamy. I tak jesteśmy tym dniem w pełni usatysfakcjonowani.

## **03.09**

Kolejnego dnia przyjeżdżają wspomniani już wcześniej Dawid, Monika i mała Emilka z Niemiec. Podczas, gdy ja z Dawidem wspinaliśmy się na okoliczny szczyt (historię opiszę osobno), dziewczyny z dziećmi w wózkach poszły zwiedzać dolinę Dorfertal. Aga twierdzi, że była to najpiękniejsza z dolin jakie odwiedziliśmy. Koniecznie trzeba zabrać ze sobą latarki, w pewnym miejscu przechodzi się przez tunel w skale długości paruset metrów. Oczywiście ominięcie go szlakiem na zboczu nie wchodzi w grę, kiedy turystkami są dwie karmiące matki pchające wózki [komentarz Agi po przeczytaniu tego akapitu: „Tamtędy się da przejść, tylko, że jest wąsko, jest przepaść i na wózek leje się woda z wodospadu. Ogólnie do przebycia, szczególnie po karmieniu, kiedy dzieci śpią. Tylko, że nierówno, a w tunelu równiej więc zawróciłyśmy”]. Dodatkowo Aga poleca kawę mrożoną w Berger Alm.

## **04.09**

Następnego dnia ruszyliśmy z wózkiem w kierunku Blauspitz. Auto zaparkowaliśmy przy żółtym domku powyżej kolejki. Miejsce to na mapie oznaczone jest jako Tumbler (1420). Stąd dosyć stromo, dojazdową drogą dotarliśmy do Glocknerblick na wysokości 1944 m. Nieco powyżej granicy 2000m, na łące z krowami, wpadam na pomysł, by wysłać Agę na szczyt Baluspitz (2575). Do pokonania ma nieco ponad 500 metrów przewyższenia i musi to zrobić szybko. W momencie, kiedy zaraz po nakarmieniu dziecka rusza w górę zaczynam czuć strach. Rzadko tak miewam, ale jak tu być spokojnym, kiedy zostałem sam z dzieckiem. Bo ja się nie bałem o Agę, wiedziałem, że sobie poradzi. Ja się o

siebie bałem. I to pewnie tym strachem ściągnąłem krowią klątwę. Najpierw podeszła do nas jedna krowa i zaczął się ocierać o drzewo, a kilka minut później z góry zaczęła galopować na nas druga. Wściekła krowa, szarżująca prosto na Dzika trzymającego małego Michałka na rękach. Używając pozostałej ręki i zębów zbierałem cały majdan – chustę, gondolkę, kocyk i zabawki i uciekałem do drogi. Zaniepokojony wydarzeniami, przypadkowy turysta pomógł mi się spakować do wózka. Chciałem jak najszybciej znaleźć się na dole, tym bardziej, że wiedziałem, że muszę jeszcze przejść jeden odcinek wśród krów. Na szczęście te były spokojniejsze i pomknąłem z wózkiem w stronę parkingu. Taktycznie starałem się jednak trzymać takie tempo, żeby Aga nas dogoniła, zanim mały zgłodnieje. Ostatecznie wszystko skończyło się szczęśliwie, Aga weszła na szczyt w ciągu jednej godziny (ponad 500 metrów!) i dogoniła nas na czas. Ja tymi krowami jeszcze potem nieco postraszę, bo żarty żartami, a to jest jednak pewne ryzyko, jak się dowiedziałem.

## **05.09**

Na południe od Lienz znajduje się jezioro Tristacher See. Bardzo ładne miejsce, można się wykąpać na strzeżonej plaży (w sezonie), jest też pole namiotowe. W tle Dolomity Lienzerskie. My zrobiliśmy sobie spacer wokół jeziora, pokarmiliśmy kaczki, których karmić nie wolno (za późno przeczytaliśmy kartkę) i zdecydowaliśmy się odwiedzić dolinę Debanttal. I ja tę dolinę gorąco polecam. Piękne widoki i możliwość podziwiania kształtnej sylwetki szczytu Glödis (3206). Dolina jest bardzo długa (16km!), ale dosyć daleko można dojechać autem. Parking znajduje się aż w miejscu nazwanym Seichenbrunn (1650). Stąd, już koniecznie na nogach, kierujemy się do Lienzerhutte. Nie dane nam było jednak tam dojść. Późna pora i niepewna pogoda coraz bardziej odbierały na pewno siebie. Jednak wiedzieliśmy, że do schroniska pozostał może jeden zakręt i jakieś 500 metrów, zatem Aga poszła na zwiad. I kiedy zobaczyłem, że Aga do mnie ze wspomnianego zakrętu macha, to pomyślałem, że widocznie mam do niej iść bo schronisko tuż

tuż. Tylko... czemu ona tak macha i biegnie w moim kierunku? I wtedy słyszę: „KROOOWY IDAĄĄ!”. Więcej mi nie trzeba było słyszeć – w tył zwrot i rura na dół. I już wiedziałem, po co nam wózek do biegania – żeby przed krowami uciekać. Biegliśmy około kilometra, aż do małej osady na uboczu. Tam mieliśmy przynajmniej miejsce, żeby usunąć się z drogi. Ale te krowy cwańsze były i stanęły na naszej powrotnej drodze. Minął nas tylko autem pan, który jadąc zgonił z góry to stado. Jak się możecie domyślić – dziwnie na nas popatrzył.

## **06.09**

Wczorajsza przygoda zakończyła się szczęśliwie. Zresztą, tak jak krowy bronią swoich młodych, tak pewnie Aga rozniosłaby całe stado, gdyby wyczuła, że jej Dziczątko jest zagrożone. Co dziś? Zimno i deszcz! Cudownie! To pierwszy dzień, kiedy nasze nogi mogą odpocząć (no bo jak można pozowlić sobie na odpoczynek w górach, kiedy jest pogoda?). Leje okropnie, trochę nawet taki prawie śnieg z deszczem. Z balkonu podziwiamy piękną tęczę nad miasteczkiem.

## **07.09**

Tego dnia o 5:30 wychodzę na okoliczny 3-tysięcznik. Ten wypad opiszę osobno, bo historia z tą górą będzie miała dalszy ciąg, zakończony morałem zresztą. Co z trasami wózkowymi na dziś? Aga za namową Pani Schnell podjeżdża do Oberlesach. Tu, na wysokości 1420 metrów jest prywatny, płatny parking [parking bezpłatny jest w Oberlesach również, ale niżej]. Płatność reguluje się, poprzez wrzucenie 3€ do bańki na mleko z napisem „Kasse – 3€/Tag – Danke”. Cena nie wygórowana delikatnie mówiąc, a jakby tego było mało, to jeszcze jakieś tajemne siły umieszczają za wycieraczką regionalną pocztówkę albo prospekt turystyczny. Stąd Aga wpycha wózek do chatki w Glorergartenalm (1804). Urocze miejsce ze wspaniałym widokiem na Kals i okoliczne szczyty. Popołudniu dołączam do żony i dziecka. Dostaję się tam bezpośrednio z Glor – wspinając się szlakiem przez strome, zalesione zbocze. Po wypiciu kawy z zagotowanej na piecu górskiej wodzie (i oczywiście nakarmieniu Michała)



udajemy się już wspólnie drogą do samochodu. Przy okazji „zaglądamy” w bok do doliny Lesachtal i już wiemy, że będzie ona naszym celem jeszcze podczas tego urlopu.

## 08.09

Tym razem ruszamy nieco dalej od domu. Najpierw podjeżdżamy samochodem do Erlsbach, u wylotu doliny Defereggental. Tam, na wysokości 1549 m. znajduje się przy szosie parking. Można podjechać jeszcze parę km dalej, do Oberhausalm (1768), wtedy po drodze mijamy Patscher Alm (1685) – jest to dokładnie to miejsce, z którego kiedyś przyatakowaliśmy [Hochgall i Barmer Spitze](#). Jednak ta trasa jest już płatna, a bilet kosztuje 6€. Tego dnia z wózkiem dotarliśmy do Seebachalm (1879) i postanowiliśmy zawrócić. Ale... wg mapy droga prowadzi znacznie dalej. Mija Jagdhausalmen (2009) po stronie austriackiej i wspina się na przełęcz Pass di Gola (2288) na granicy z Włochami. Następnie schodzi w dół, zagłębiając się w teren włoskich Dolomitów. Może jest to potencjalna trasa na kilkudniowy rajd z dzieckiem w wózku? Jeśli ktoś to sprawdzi to proszę o taką informację. Wracając wstąpiliśmy do znajdującej się przy parkingu w Oberhausalm restauracji. Zamówiliśmy suty obiad składający się ze świni w kapuście i zaczęliśmy zajadać się na raty, bo Michałek domagając się uwagi konkurował ze świnia. Widząc to, właściciele postanowili się Małym zająć. Nosili go na rękach i rozmawiali z klientami, co bardzo ucieszyło tego naszego małego społecznika, Obywatela Świata. Po skończonym posiłku okazało się, że nie mamy pieniędzy, bo portfel został na dole w aucie. Ugadałem się, że zostawię żonę i dziecko jako zabezpieczenie i ruszyłem biegiem w dół. Niestety już po paru krokach dała o sobie znać w moim brzuchu świnia w kapuście. Nie tylko nie mogłem biec, otóż ja ledwo mogłem chodzić. Do tego potwornie zachciało mi się pić (w ramach oszczędności oczywiście posiłek zamówiliśmy „na sucho”). Życie uratowało mi zjeżdżające z góry starsze małżeństwo (a jakżeby inaczej, od tygodnia nie spotkaliśmy nikogo w wieku przedemerytalnym). Zabrali mnie na stopa i w ten sposób bardzo szybko znalazłem się na dole. Oczywiście

wróciłem już samochodem, żeby nie prowokować świni do wyjścia z powrotem. Po drodze minąłem schodzącą żonę (z wózkiem), która wyswobodziła się z niewoli grożąc użyciem płaczącego dziecka. Szybko załatwiłem sprawę w restauracji (szczególnie głupio mi było, bo nie zapłaciliśmy rachunku mimo tak fachowej obsługi przy dziecku) i wracając zgarnąłem rodzinę do samochodu. Przygoda zakończona.

## **09.09**

Ostatniego dnia znów udajemy się do Oberlesach. Parking, bańka na mleko, 3€/Tag, widokówka za wycieraczką itd. Tym jednak razem wchodzimy we wspomnianą wcześniej dolinę Lesachtal. Znów wybieramy dojazdową drogę i nią docieramy do Lesachalmhutte (1818). Po drodze mijamy uroczą kapliczkę, wokół niej kwiaty w donicach. Aga zastanawia się, kto o te kwiaty tutaj w górach tak dba. Czytamy powieszoną kartkę: „Jeśli kwiaty mają sucho, proszę podlać” – i to jest kwintesencja tego, co można by opisywać długo i różnymi słowami. Ta bańka z napisem „Kasse”, te kwiaty... to są spotykane tu na każdym kroku dowody, jak może funkcjonować społeczność, społeczeństwo, a może i cały naród. Mimowolnie umysł podsuwa mi obrazy, jakby to wyglądało w Polsce. I wtedy źle mi się robi i myślę, czy to wina jakichś spapranych genów, czy historii, czy czego. Bo w takich miejscach raczej prędzej niż później pojawiłyby się te mordy wściekłe na cały świat, umazały sprayem słup i ścianę, spaliły śmietnik i zniszczyły z buta co dałoby się butem sięgnąć. Przecież to nic innego jak źle spożytkowana energia. I to taka energia, która wiele dobrego mogłaby zdziałać, gdyby nie to fatalne, negatywne zapętlenie. Ale to temat ponury, nie ma co go ciągnąć, tym bardziej, że pozytywnych perspektyw rozwiązania problemu póki co nie widać.

Przedstawiłem kilka tras, propozycji, gdzie można się udać z wózkiem dziecięcym. Nie każdym – o tym poniżej. I nie z każdym dzieckiem pewnie, ale ja nie wiem jak to jest z innymi, bo mam jedno. Sami sprawdźcie. My postawiliśmy na to, że Michał od urodzenia będzie poznawał świat, nawet zanim będzie miał

cokolwiek do powiedzenia. I może dlatego tak dobrze to znosi?

Najbardziej istotna kwestia, jeśli chodzi o sprzęt, to oczywiście wózek. My zakupiliśmy Bob Revolution SE i powiem zupełnie szczerze – wciąż nie znalazłem wady. Pod każdym kątem uważam, że wózek jest doskonale przemyślany. Ale to nie jest blog o wózkach, więc daruję sobie szczegółowe opisy. Co dla nas najważniejsze – świetnie się spisuje na szlakach i podczas ucieczek przed krowami.

-END-

---

# Styl Broalpejski

**Cel** – Francja – Mont Blanc – zdobyty

**Kiedy** – lipiec 2008

**Kto** – Dziku & Damian & Krzysiek

**Tekst** – Dziku

**Zdjęcia** – Dziku



Styl broalpejski z Damianem i Krzyśkiem wypróbowaliśmy już w lutym na Rysach ale nadszedł czas na sprawdzenie jego skuteczności w Alpach. I tym razem okazał się niezawodny, chociaż kiedy w poniedziałek w środku dnia popijaliśmy piwko na polu namiotowym w miasteczku trudno było uwierzyć że noc spędzimy ponad 2 tys. metrów wyżej.

A tak po kolei to: w sobotę rano przyjeżdżamy na pole namiotowe w Chamonix. Po dotarciu cieszymy się że wyszło słońce bo w trasie często lało. I dobrze, że zdążyliśmy się

ucieszyć, bo następnie lunął deszcz i padał przez następne parę dni. Przez resztę soboty, niedzielę i połowę poniedziałku: deszcz, spanie, picie, deszcz, spanie, jedzenie, deszcz, spanie, deszcz, spanie, picie, deszcz, deszcz. Acha, było urozmaicenie w postaci burzy.

W poniedziałek koło południa Damian wychyla głowę z namiotu i stwierdza, że przed wejściem w magiczny sposób pojawił się karton piwek. Zanim je otworzyliśmy postanowiliśmy poczekać, czy przypadkiem nie wróci po nie poprzedni właściciel. Czekaliśmy tak dobre 3 sekundy ale nikt się nie zgłosił, więc otworzyliśmy po buteleczce (mają tam megaciotpiweńka – 0,25 l). Reszta potoczyła się jak w lutym nad Morskim Okiem. Po piwkach nastąpił atak ADHD, a że akurat przestało padać to wyskoczyliśmy z namiotu i zaczęliśmy się pakować w góry. I tak – zamiast rozpocząć przygodę z Blankiem o świcie to my po południu fuksem pakujemy się do ostatniej kolejki i tramwaju do Nid d'Aigle – jakieś 2400 m. n.p.m. Wieczorkiem dochodzimy do ok. 3200 m. n.p.m – trochę powyżej schroniska Tete Rousse – i tu rozkładamy namiot.

We wtorek o 7 rano wchodzimy w kuluar. Tu zazwyczaj panuje niebezpieczeństwo oberwania kamykiem. Ale nie w tych dniach, bo kiedy na dole padał deszcz tu na górze x-metrowa warstwa śniegu przykryła wszelkie czające się na życie turystów kamyczki. Dochodzimy do schroniska Gouter i jako, że pora była wczesna ruszyliśmy dalej. Od wysokości ok. 4000 m. n.p.m. trochę nas sponiewierało. Skutek wysokości, całkowitego braku aklimatyzacji i ciężkich plecaków. Dowlekliśmy się do Vallota na wysokości 4362 m. n.p.m. W schronie ja i Krzysiek leżeliśmy sobie bez ochoty na nic. Za to Damian się opalał, biegał po śnieg i gotował pierożki.

W środę o świcie w całkiem dobrej formie poszliśmy na szczyt. Ogólnie to po lewej ładny wschód słońca a po prawej cień Blanca na chmurach. I mnóstwo ludzi. Trudności technicznych nie zaobserwowano. Ale wysokość może dać nieźle po łbie. Do tego uzależnienie od pogody więc zdobycie tego szczytu wcale

nie jest sprawą prostą czy oczywistą. Wykorzystaliśmy 2-dniowe okienko pogodowe i dzięki temu wypad zakończył się najlepiej jak mógł. Po zejściu do Chamonix znów rozpoczęła się pora deszczowa. I znów – ale już z pełną satysfakcją – deszcz, spanie, picie, deszcz, jedzenie, picie, picie...

[Tekst z lipca 2008]

-END-

[Komentarz z września 2016]

*„Wy tam strasznie dużo pijecie” – usłyszałem po którejś prezentacji. I wtedy uświadomiłem sobie, że w Polsce nie można nadużywać słowa „pić”. Nawet odmieniając przez różne przypadki. No bo pierwsze co się nasuwa po przeczytaniu tej relacji to to, że narąbani pobiegliśmy na Mont Blanc. A ja nic na to nie powiem. Bo mi się nie chce tłumaczyć. Tylko niech nikt nie próbuje po pijaku przejechać autem tysiąc km i potem zdobywać szczyty.*

Ważniejszą kwestią, z dzisiejszego punktu widzenia, jest dla mnie to, że podjęliśmy się sporemu wyzwaniu. Dziś sobie uświadomiłem, że miałem na koncie tylko jeden szczyt 3-tysięczny. Przed Mont Blanc tylko raz, z grupą nieznajomych w dodatku, związałem się w górach liną. To, że nie było poważniejszych skutków niedociągnięć organizacyjnych lub po prostu porażki, zawdzięczamy, wg mnie, przede wszystkim naszej wytrzymałości. A i szczęście na pewno dopomogło. Podstawowy błąd, o którym nigdy nie zapomnę to to, że na całodzienną walcę ze szczytem wybraliśmy się mając... po 0,5 litra płynu na głowę (na wszelki wypadek dodam, że chodzi o herbatę).

Do Chamonix zeszliśmy jeszcze tego samego dnia, którego zdobyliśmy szczyt. Pamiętam też, że była jakaś historia z jedzeniem. A właściwie jego brakiem. Na dole nie mieliśmy żadnych zapasów, a sklepy były już pozamykane. Na pewno kiedyś jeszcze spotkamy się z Damianem i Krzyśkiem i powspominamy te i inne historie związane z naszym pierwszym

czterotysięcznikiem. Oczywiście przy herbacie.

Z tym lekkodusznym podejściem wiążą się też pewne skecze. Jak np. konfrontacja na wysokości 3200 m Damiana w krótkich spodenkach z Azjatami w puchowych strojach. Albo kiedy leżąc na karimacie przed Vallotem wykrzeszałem z siebie siły by wstać, ściągnąć koszulkę i zupełnie poważnie powiedzieć: „Zrób mi zdjęcie na naszą klasę”.



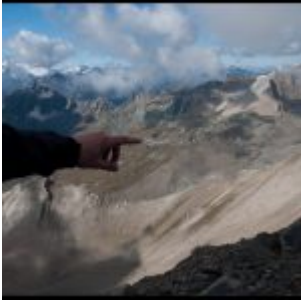
Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejście z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.





Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

Zdjęcia kolejno rzędami:

1. Podejście do Tete Rousse (zdjęcie spod schroniska)
  2. Obozowisko przy Tete Rousse
  3. Spojrzenie w kierunku słynnego kuluaru Rolling Stonesów
  4. Bionassay
  5. Droga od starego schroniska Gouter na Dom du Gouter
  6. Wysokość ok. 4000 m
  7. Podejście na Dom
  8. Spojrzenie z Dom du Gouter na Vallot i na szczyt Mont Blanc
  9. I widok w stronę przeciwną, z Vallota na Dom du Gouter.
  10. Aguille du Midi
  11. Pierożki w Vallocie
  12. Mrówki po sznurku na szczyt
  13. Cień MB na porannej mgiełce
  14. Ekipa na szczycie
  15. Dzik na MB po raz pierwszy
  16. Zejście granią
  17. Widok na obozowisko powyżej starego schroniska Gouter.
  18. Dziczątko
  19. Krzyś
  20. Damianek
-

# Zielonki w Taurach

Któregoś dnia skrobnałem artykuł do gazetki zakładowej. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zamieścić go również na stronie w formie relacji. Poniżej zacytowanego tekstu dodam komentarz.

*Grosses Wiesbachhorn to trzeci co do wysokości szczyt Wysokich Taurów. Wznosi się na wysokość 3564 m n.p.m.*

*Decyzja o wyborze tego celu zapadła zaledwie na 2 dni przed wyjazdem. Podyktowana była różnymi czynnikami, między innymi prognozą pogody i odległością od domu. Również stopniem trudności, gdyż dla dwójki uczestników była to dosłownie pierwsza w życiu tak wysoka góra. Jednak kto stanie przed obliczem Wiesbachhorna nie odważy się nazwać tej góry określeniem łatwej. Czekają na nas 800 metrów stromego podejścia do schroniska, nieco dalej zaś „straszył” 30 metrowy skalny stopień. Po wspięciu się na niego, stromym stokiem dostaliśmy się na Unterer Fochezkopf. Już w tym momencie mogliśmy spojrzeć na świat z wysokości ponad 3 tysięcy metrów. Od szczytu dzieliło nas jeszcze 550 m. Po kolejnych godzinach wysiłku, przy idealnych warunkach pogodowych stanęliśmy na wierzchołku. Tu poznaliśmy niezwykłego człowieka – 76-cio letniego uśmiechniętego mężczyznę, który z powodzeniem wciąż zdobywa alpejskie szczyty. Nie mogę pominąć też faktu, który wyszedł w rozmowie, że zdobył on aż 3-krotnie Mont Blanc – ostatni raz gdy miał 62 lata. Czy to umniejszyło naszym dokonaniom? Na pewno nie. W góry każdy jeździ ze swoich własnych powodów. Często jest to przewyciężanie słabości, sprawdzanie siebie samego w trudnych warunkach jednocześnie doświadczając pracy zespołowej na najwyższym poziomie (dosłownie i w przenośni). O to, co tym razem zmotywowało nas do wyjazdu trzeba by zapytać każdego z osobna.*



### Komentarz do wyjazdu i relacji:

Komentarz się należy, ponieważ wyjazd ten był dla mnie wyjątkowy. Nie wiem, czy tak do końca potrafię wyjaśnić dlaczego, ale prawdopodobnie chodzi o specyficzny skład. Impulsem do wyjazdu była działowa impreza integracyjna w knajpie. Jak to bywa podczas takich imprez, człowiek bywa pod wpływem. Nie wtylko pod wpływem alkoholu, ale również kolegów. Ci zagadali mnie, czy bym ich w góry nie zabrał. No i obiecałem, a skoro obiecałem, to pojechaliśmy na „Wiesbacha” (po jakimś czasie, czyli na trzeźwo). Wchodziłem już wcześniej z „zielonkami” na wyższe góry (Monte Bianco 2009 i 2016), ale tym razem było inaczej, ponieważ najogólniej rzecz biorąc, jeden z uczestników posiadał alpejskie serce, a drugi siłę. Pomimo tego, albo właśnie dzięki temu – wyjazd zakończył się sukcesem. Nie tylko chłopaków, ale szczerze przyznaję, że również moim. We trójkę stanęliśmy na szczycie o wysokości 3564 m. Jest to wyczyn niezwykły, ponieważ żaden z dwójki uczestników nie mógł przewidzieć, co go czeka. Skalny stopień, którym mimo sztucznych ułatwień trzeba było się wspiąć, a także strome stoki i ostra grań prowadząca na szczyt była dla Sebastiana wyzwaniem. Wyzwaniem, które pokonał. Dla Tomka trudnością była długość trasy, śnieg, wysokość. Ale on również się nie poddał i mimo walki o każdy krok dopiął swego. Czuję ogromny szacunek dla nich obu i cieszę się z ich i ze swojego

sukcesu. Ten wyjazd to była prawdziwa frajda. I mam nadzieję, że nie tylko dla mnie!

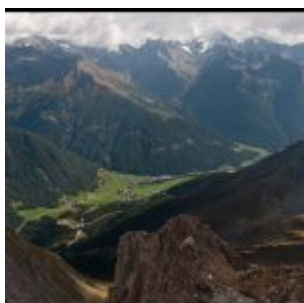
Na zdjęciach poniżej droga na Grosses Wiesbachhorn, my, piękne widoki, a na jednym ze zdjęć 76-cio letni alpinista. Nie zabrakło też patriotycznego akcentu i wytuptanej nazwy pewnej uroczej miejscowości.



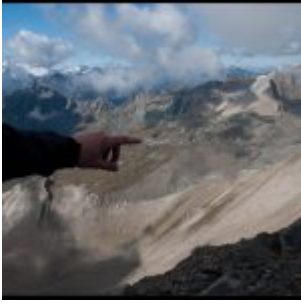
Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejście z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.



Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

---

# Dziku – człowiek z Similaun

**Cel** – Alpy Ötztalskie – zdobyte

**Kiedy** – listopad 2015

**Kto** – Dziku & Tomek & Rafał & Asia & Dawid

**Tekst** – Dziku

**Zdjęcia** – Dziku

W połowie listopada w roku 2015 po raz 3-ci już przemierzam trasę w górę doliny Niedertal. Szlak ten prowadzi do schroniska Martin Busch Hütte (2501) w Alpach Ötztalskich. Jakże niewinnie wygląda ta droga w takich jesiennych warunkach! Jednak wciąż mam w pamięci 2012 rok, kiedy to z powodu śniegu i wysokiej temp. znaleźliśmy się tu w śmiertelnie niebezpiecznej pułapce. Było to zaledwie miesiąc później, bo w połowie grudnia. Wtedy przejście tych 7 km ze schroniska do miasteczka było prawdziwą loterią. Każdy żleb groził nam zwałami śniegu, gotowymi w każdej chwili ruszyć i porwać nas w dół stromej i długiej stoku, do wąwozu i strumienia. Jak blisko było tragedii przekonaliśmy się wtedy dzień wcześniej, kiedy troje z nas porwała lawina i tylko

cudem wyszliśmy z tego cało.



*Martin Busch Hütte (2501)*

Ale wróćmy do roku 2015, kiedy to dojeżdżamy do Vent i natychmiast ruszamy na szlak. Mimo wczesnego popołudnia krótki dzień szybko uraczył nas ciepłą barwą zachodzącego słońca. Około godziny 14-tej jesteśmy przy schronisku. Zostawiamy bagaże i na lekko ruszamy w kierunku Kreuzspitze (3457).



Skład:

Dziku – ja,

Tomek – ze stałej „drintimowej” ekipy,

Asia – wspólnie wyjeżdżamy rzadko, ale za każdym razem są to niezapomniane przygody (Bałkany, Islandia),  
Rafał – kolega z pracy – to jego 3-cia przygoda w Alpach, był ze mną na Schrankogel rok wcześniej,  
Dawid – jego pierwsza przygoda z górami to właśnie ta sprzed paru lat, kiedy to miał okazję pływać w lawinie. Bardzo mu się to spodobało (pomyślał, że takie atrakcje to normalne) i dziś robi alpejskie wielowyciągówki.



Na Kreuzspitze prowadzi całkiem łatwe, ale od początku do końca strome podejście. Jest to zwykła ścieżka, więc idziemy bez asekuracji. A to znowu prowadzi do tego, że rozciągamy się na długim dystansie. Każdy biegnie/człapie swoim tempem. Przystaję na wypłaszczeniu, przy początku feralnego żlebu. To właśnie tu, przed laty, w gęstej mgłę pomyliłem drogę i w żlebie doszło do wypadku. Ale wtedy było mnóstwo śniegu. Dziś jest goła skała i wygląda to zupełnie niegroźnie.





*Kreuzspitze (3457)*

Odwracam się i znów gonię swoim tempem. Co jakiś czas przystaję i czekam na resztę, ale widzę ich dużo niżej. O 15:45 jestem już pod granią. Widzę, że chłopaki odpuścili i wracają. Za to Asia jest całkiem blisko. Decyduję się poczekać na nią już na szczycie więc ruszam dalej, chcę zdążyć na zachód słońca. O 16:30 jestem na wierzchołku i robię sobie zdjęcie pod krzyżem.



Akurat słońce zbliża się do wierzchołków gór i wkrótce za nimi zniknie. Po 15 minutach decyduję się schodzić, ale wtedy z radością stwierdzam, że Asia nie odpuściła i jest już tuż pod szczytem. Zostaję, by zrobić jej zdjęcia i wkrótce razem ruszamy na dół. W tym samym momencie słońce znika za horyzontem. Schodzimy bardzo szybko, ale i tak nie uniknęliśmy marszu w zupełnych ciemnościach.

Wieczorem atakujemy K2! Wprawdzie na planszówce ale i tak są emocje, a Dawid zalicza swój pierwszy 8-tysięcznik.



*W tle Fineilspitze (3516)*

Rano wychodzimy w komplecie ze schronu z zamiarem wejścia na

Fineilspitze (3516). O 8 rano znajdujemy się już na przełęczy Tisenjoch, pod pomnikiem „Oetziego – człowieka z Similaun”. Od tego momentu towarzyszy nam silny wiatr. Nie są to jednak warunki na tyle ciężkie byśmy mieli zrezygnować. I tak, już o 9:30 cel jest zdobyty. Końcówka grani jest bardzo wąska. A i na samym wierzchołku nie ma co liczyć na więcej miejsca, więc jesteśmy bardzo ostrożni przy „mijankach”. Po symbolicznym dotknięciu krzyża na szczycie każdy robi w tył zwrot i podąża na dół. Nie ma miejsca na cieszenie się widokami przy tak silnym wietrze na ostrej grani.



*Rafał na szczycie Fineilspitze*

Schodzimy z powrotem na przełęcz i ze względu na wczesną porę nie wracamy, lecz ruszamy granią w kierunku Similaun (3606). I co ciekawe góra ta – uznawana za łatwą – broni się przede mną i tym razem. Czyli już po raz 3-ci! A ciekawe jest to, że praktycznie za każdym razem jestem bez szans.

I tak w 2008 osiągam wysokość około 3400 metrów. Jednak jest wieczór. Słaba widoczność. Zaczyna padać. Jestem sam. W

krótkich spodenkach. Bez raków. Bez czekana. Na lodowiec staram się nie schodzić a wysokość osiągam idąc po kruchej i niebezpiecznej grani. Szczyt ewidentnie był poza moim zasięgiem.

W 2012 docieram paręset metrów od... schroniska! Po czym przez niemal godzinę wracam z powrotem przesuwając się mozolnie metr po metrze zapadając się w głębokim śniegu.

I teraz, w 2015, przy doskonałej widoczności i pogodzie znów nie jestem w stanie dostać się w pobliże szczytu. Już na szlaku prowadzącym do Similaunhütte zatrzymuje nas w kotle głęboki śnieg. Wspinaczka granią jest możliwa ale tylko dla doświadczonych osób. Tylko Dawid i Tomek czują się na siłach by spróbować. Jednak widząc nasze zniechęcenie też odpuszczają. Powrót do schroniska zajmuje nam jeszcze sporo czasu, gdyż chcąc skrócić drogę za każdym razem natrafialiśmy na strome urwiska. Nieunikniony był powrót po śladach do samej przełęczy z pomnikiem. Potem już bez problemu w dół do schronu.

A wieczorem ginie Tomek, ale godnie, bo na K2.



Następnego ranka szykujemy się do powrotu do domu. Ale przygody się jeszcze nie kończą. Dawid z Tomkiem „odrabiają straty” i wczesnie rano wchodzą na Kreuzspitze. My wstajemy nieco później i idziemy obejrzeć Marzellkamm. Jest to boczna grań również prowadząca na lodowiec pod Similaun. Jest to też początek drogi na Hintere Schwärze (3628). Niestety w ostatnich latach nastąpił wielki obryw fragmentu góry. Szlak kończy się na potężnym i stromym gruzowisku. Próba jego przejścia byłaby bardzo ryzykowna. Tu kończymy zwiad i wracamy do schronu. Tomek i Dawid szczęśliwie schodzą ze szczytu i wszyscy razem ruszamy w drogę do miasteczka.

To już definitywne zakończenie udanego, górskiego sezonu 2015.

Dziku

ps. A na Similaun jeszcze wrócę.



*W tle Similaun (3606)*



*Pod szczytem Kreuzspitze*



*Na szczycie Kreuzspitze*





*Pomnik Otziego*



*Na grani Fineilspitze*

---

# ...coś się zaczyna

**Cel** – Litwa – Aukštasis kalnas – zdobyty

**Kiedy** – sierpień 2016

**Kto** – Dziku & Aga & Dżiczek

**Tekst** – Dziku

**Zdjęcia** – Dziku & Aga



Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejście z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.



Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

To już 5 lat, odkąd zwolniłem z Koroną Europy. Wynikało to z tego, że długa lista oczekujących gór skurczyła się. Inne projekty wyglądały bardziej zachęcająco. I tak, kiedy w 2011 roku poradziliśmy sobie z jednym z największych wyzwań – Narodną (zimną na Uralu Subpolarnym!), potem we wrześniu odhaczyliśmy Płw. Iberyjski i tempo zmałało drastycznie. Wcale nie oznacza to, że było nudno. Nie licząc powtórek na tfu tfu Gerlachu, to np. Śnieżka i Rysy z projektem Razem Na Szczyty były wyzwaniem. Prawdziwą przygodą była też powtórka Drogi Papieskiej na Monte Bianco. W międzyczasie do zdobyczy dołączył w 2014 jeden nowy szczyt – z „tzw. Państwa Islandzkiego”. Jednak wejście było mało spektakularne – w gęstej mgle z nosami w GPS-ie.

Dopiero 1-go sierpnia 2016 zdecydowaliśmy się na kolejną zdobycz – litewską Wysoką Górę. Całe imponujące 294 m n.p.m., ale to przecież wciąż część projektu. W dodatku w doborowym towarzystwie – małego Dżiczka. I nie chodzi mi tu tylko o gumową zabawkę, która (od Kosowa 2008-go roku) towarzyszyła mi na szczytach Korony Europy. Zdjęcie z koszulką i hasłem „never

stop exploring” (przypadek?) staje się mottem. Nic się nie kończy, coś się zaczyna. Przed nami kolejne przygody. Doszła tylko jeszcze jedna torba ze „szpejem”. A w niej pieluchy i inne niezbędne akcesoria. Duży bagażnik okazuje się świetnym zapleczem – kantyną, placem zabaw i sanitariatem. W głowie kotłują się już pomysły. Świat stoi otworem. Never stop exploring!

Dziku

– END –

---

# Kłęska logistyczna

**Cel** – Alpy Berneńskie – niezdobyte

**Kiedy** – kwiecień/maj 2012

**Kto** – Dziku & Aga & Tomek

**Tekst** – Dziku

**Zdjęcia** – Dziku



Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejscie z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.



Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

## 27 IV

Godzina 23-cia na niemieckiej autostradzie – jedziemy we troje przytuleni do szyb po stronie kierowcy. W ten sposób odciążamy prawą stronę Forda, gdzie w przednim kole mamy kaptcia. Normalnie powinniśmy to koło wymienić na zapasowe, lecz... to właśnie jest zapasowe koło.

Bylebyśmy dojechali do stacji benzynowej bez zniszczenia opony. Inaczej do rana czeka nas siedzenie w aucie i pomoc drogowa. A przecież zaledwie godzinę temu byliśmy w podobnej

sytuacji i tylko dzięki Adze kontynuowaliśmy podróż.

Zacznijmy od początku – zawiodły po kolei:

1. Opona – klasyczna guma i zjazd na pobocze autostrady.
2. Klucz do kół – owinał się kilka razy wokół siebie i był bezużyteczny.
3. Ziemia – obróciła się tak, że było zupełnie ciemno i okoliczni mechanicy poszli spać.

Nie zawiodła natomiast Aga, która zabrała mi kamizelkę odblaskową i czołówkę i ustawiła się przy jezdni próbując zatrzymać pędzące przez noc samochody. O dziwo zanim przyjechała die Polizei zatrzymali się Polacy i pożyczyli nam klucz.

I tu kolejny punkt, który nas zaskoczył:

4. Koło zapasowe – nienapompowane.

I tak, przyciśnięci do szyby wypatrujemy przed sobą świateł stacji. Jest! Jesteśmy uratowani. Nie wiemy jeszcze, że będziemy się poruszać jak na przebitych oponach do końca tego wyjazdu.

## **28 IV**

W Andermatt okazuje się, że dalej nie pojedziemy. Przełęcz Furka (2431 m. npm) jest zamknięta ze względu na zalegający po zimie śnieg. Na mojej mapie jest informacja, że trasa ta jest zamknięta do końca kwietnia (czyli jeszcze przez 2 dni!). Ale ja to przeoczyłem, bo myślałem tylko o tym, że w 4 dni wejdem na **6 czterotysięczników**. W głowie miałem już napisaną relację.

Zostawiamy samochód i o 13-tej wsiadamy w pociąg. Ten fragment podróży jest dla nas pocieszeniem, bo trwa w przepięknej alpejskiej scenerii, wśród skąpanych słońcem, ośnieżonych szczytów. Poza tym zdobywamy bilety w całkiem atrakcyjnej, promocyjnej cenie. Popołudniu wyruszamy z ciężkimi plecakami do góry. Tego dnia docieramy do chat przy nieczynnym wyciągu narciarskim. Nie wiem czy bardziej zmęczył mnie marsz, czy pracujący na pełnych obrotach procesor w głowie. Non stop



przeliczam wysokości, czas i odległości. Wciąż widzę nas, jeśli nie na 6-ciu, to na pewno na **5-ciu czterotysięcznikach**.

## **29 IV**

Cały dzień leje. Leżąc w namiocie i dłubiąc słonecznik wyliczam, że będziemy musieli zadowolić się **4-ma czterotysięcznikami**.

## **30 IV**

Nie pada! Składamy namiot i pniemy się w górę. Mijamy kolejną stację narciarską i kolejkę na Eggishorn (2927 m n.p.m.). W tym miejscu spod śniegu wychodzą świstaki wielkości średniej wielkości psa. Ciekawe jak sobie te zwierzęta radzą przez zimę. Chyba im w tych śnieżnych tunelach dobrze bo wyglądają na nieźle spasione.

Około 12-tej mijamy przełęcz i zostawiając po lewej Eggishorn schodzimy do domku przy jeziorze. Spotykamy tu śmieszne kury. Podczas gotowania obiadu (kur nie złapaliśmy) wynajdujemy patent, który będzie się sprawdzał w kolejnych latach:

1. Gotujemy parówki.
2. Gotujemy makaron wodzie po parówkach, zajadając je jako przystawkę.
3. Do wrzącego makaronu wsypujemy sos w proszku.
4. Wkrajamy do tego ser i kabanosy.
5. Dodajemy przypraw.
6. Mieszamy i zjadamy wszystko ze smakiem.

Doskonała potrawa dla 3 osób z wykorzystaniem zaledwie pół menażki stopionego śniegu.

O 14-tej wchodzimy na największy alpejski lodowiec. Ciągnie się i wije we mgle niczym wielka, lodowa rzeka. Zaczyna sypać gęsty śnieg, a my coraz bardziej się w nim zapadamy. Coraz bardziej mokrzy, późnym popołudniem decydujemy się rozbić namiot. Stawiamy go w miejscu, gdzie się zatrzymaliśmy. I tak

wszędzie tak samo biało. Nie zdajemy sobie sprawy, że latem wygląda tu zupełnie inaczej. Gdy śnieg się wytopi pokazują się ukryte o tej porze roku szczeliny i znalezienie tu miejsca na namiot jest bardzo trudne. Układając wokół siebie i w śpiworze mokre ubrania i buty kładziemy się spać.

Myślę, że wejdziemy tylko na **3 czterotysięczniki**.

## **1 V**

Cały dzień sypie śnieg. Widoczność bardzo marna. Gramy w statki, w szubienicę lub odgadywanie wymyślonych słów. Gotujemy, trochę śpimy, lub po prostu leżymy bez ruchu. Po drugim dniu i w sumie 10-tej godzinie gapienia się na metkę z przekreśloną zapałką zaczynam się zastanawiać, czy to jest ok, że odpalamy w środku namiotu palniki gazowe. Przenoszę wzrok na ścianki sypialni. Znam już każdą kropkę i plamkę pleśni. Ppopołudniu zrozpaczeni uświadomiamy sobie, że skończył się słonecznik. Ołówek też jest już na wyczerpaniu.

Nie poddajemy się – składamy namiot i próbujemy przedostać się pod jeden ze szczytów. Po dwóch godzinach torowania z ciężkimi plecakami decydujemy się znów rozbić obóz.

Stąd mamy w zasięgu przynajmniej **2 czterotysięczne szczyty**.

## **2 V**

Całą noc sypie śnieg. Rano już wiemy, że mamy tylko jedną próbę. No trudno, niech chociaż **1 czterotysięcznik** uda się zdobyć. Po trzech godzinach torowania w śniegu do samych jajek poddajemy się. Z zaciętymi minami pakujemy się i o 14-tej zaczynamy morderczy marsz po lodowcu. Jeszcze tego samego dnia docieramy do miejsca, w którym możemy go opuścić. Mamy serdecznie dość maszerowania we wszechogarniającej bieli. Przypuszczam, że gdyby było trzeba to szlibyśmy nawet po ciemku byleby tylko zostawić za sobą lodowiec i skiturowców pytających w różnych językach „a wy gdzie zgubiliście narty?”. Rozbijamy namiot niedaleko chatki przy jeziorku.

### 3 V

Rano wychodzimy z namiotu i... świeci słońce! Humory nam się poprawiają. Szczerzą się białe zęby na spalonych od słońca pyskach. No właśnie – to była dla nas nowość. Pomimo, że przez ostatnie parę dni nie widzieliśmy kawałka nieba zostaliśmy porządnie spieczeni. Jest naučka na przyszłość, by na lodowcu smarować filtrem twarz nawet przy paskudnie pochmurnej pogodzie.

O 11-tej wchodzimy na przełęcz. Jeszcze niebezpieczny trawes na stoku Eggishorna, stacja kolejki, domki, las i – po 9-ciu godzinach marszu – jesteśmy w miasteczku Fiesch. Dochodząc do stacji widzimy stojący na peronie pociąg. Nie śpieszymy się, możemy pojechać kolejnym. Pociąg odjeżdża, a my dowiadujemy się, że to był ostatni tego dnia. To jest już dla nas za wiele. Idziemy do miasta szukać sklepu z winem.

Przed zmrokiem udajemy się do wypatrzonej pod lasem na wpół zawalonej chatki. Tam spędzamy noc.

### 4 V

Rano mocno się wykosztowujemy na bilety powrotne (niestety promocja działała tylko w jedną stronę) i jedziemy do Andermatt. Na miejscu tradycyjnie kąpiel w publicznej, dworcowej umywalce i jedziemy ponad 1000 km do domu.

Ten wyjazd był jednym z najdroższych i teoretycznie jednym z najbardziej nieudanych alpejskich wypadów. Ale jak każdy wyjazd czegoś nas nauczył. Np. tego, że kwiecień i maj to nie najlepsza pora na wędrowkę z plecakiem po Alpach. Albo tego, że w tej samej wodzie można ugotować kilka składników. Ale przede wszystkim tego, z czego chyba dopiero później zdałem sobie sprawę – potwierdziła się tam pewna ważna sprawa. Otóż wiem, że z Agnieszką, Tomkiem i Pawłem (który tej logistycznej porażki uniknął) jestem w stanie dzielić nie tylko sukcesy, ale i porażki. Tworzymy doskonale zgraną ekipę, zachowującą dobry humor i niepodatną na konflikty nawet, gdy trzeba przez kilka dni leżeć bez ruchu na 3 metrach kwadratowych.

Dziku

– END –

---

# Herr Flick Memorial

**Cel** – Śnieżka (1602 m n.p.m.) – zdobyty

**Kiedy** – marzec 2016

**Kto** – Dziku

**Tekst**– Dziku

**Zdjęcia**– Dziku



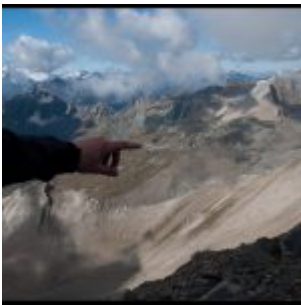
Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejście z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.



Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

7 III 2016

O godz. 6:10 wychodzę z parkingu w Szklarskiej Porębie. Przedemną długi marsz. W planie mam przejście grzbietu Karkonoszy, wejście na Śnieżkę i zejście do Karpacza. Letni czas wg mapy to 10,5h. Trasę tę pokonałem już zimą kilkakrotnie, ale za każdym razem z noclegiem gdzieś po drodze. Dziś ma pójść całość na jeden strzał.

Jest pochmurno, mgliście i słyszę, że w koronach drzew wieje. Nie zniechęca mnie to, spodziewałem się, że wiatr nie opuści mnie ani na chwilę. Pierwszy przystanek robię w schronisku na Hali Szrenickiej. Trasa do tego miejsca prowadzi wygodną drogą. Śnieg ubity, nie jest ślisko. Odpoczynek jest krótki, tyle żeby skorzystać z kibla. Przed drzwiami zjadam napoczęte wczoraj jabłko. Nawet nie wchodzę na schody.

Trasa na Szrenicę znośna. Jeśli nie gubię udeptanej, zawianej ścieżki to jest dobrze, zapadam się co najwyżej do kostek. W gęstej mgle i wyraźnie odczuwalnym wietrze pnę się do góry. Mijam odbicie na Szrenicę, dochodzę do Śnieżnych Kotłów i

czuję jakby wiatr słabnął. A jeszcze chwilę wcześniej otulałem twarz, bo zaczynała się pokrywać szronem. Wspominam moje pierwsze przejście tej trasy, kiedy mniej więcej w tej okolicy zorientowałem się, że pół twarzy mam pokryte warstwą lodu. Niestety maszerowałem wtedy w „złą” stronę, bo najczęściej wieje z zachodu na wschód. Miałem na sobie wtedy gumową kurtkę, sztruksy i głany. Nie jestem pewien czy zdawałem sobie sprawę, że jestem w górach.

Przy stacji nadawczej nie przerywając marszu zjadam bułkę. Widoczność bliska zera, więc nie tracę też czasu na zdjęcia. Pojawia się jednak inny problem – zaczyna mnie rwać w kolanie. Myślę, czy nie zrobić prowizorycznej kuli i nie kuśtykać najbliższym zejściem na dół albo zawrócić. Wyginam nogę na wszystkie strony szukając optymalnego ustawienia i udaje mi się zminimalizować ból. Przez mgłę powoli przebija się słońce, a wiatr słabnie niemal do zera. Szlak w większości przewiany, torowania niewiele, no i ciepło. Nie chcę zmarnować tak dobrych warunków. Idę dalej.

Po 4h od wymarszu jestem na Przełęczy Karkonoskiej. Do tego momentu nie spotkałem nikogo. Teraz pojawili się ludzie na biegówkach jako pewne urozmaicenie tego samotnego marszu. Mija mnie rozpędzony Czech, przewraca się i wbija twarzą w śnieg. Pytam czy ok, odpowiada coś niezrozumiale. Tak to już jest ze zjeżdżaniem na biegówkach.

Jeszcze przed przełęczą wraca ból kolana. Już na dobre. Od tej pory idąc staram się nie zginać nogi. Herr Flick na Równi Pod Śnieżką. W ten sposób dochodzę do Słonecznika. Przede mną nareszcie widoczna Śnieżka. Teren na najbliższe godziny niemal płaski więc mogę powłóczyć nogą. Tylko wtedy nie boli. Droga do Śląskiego Domu dłuży się paskudnie. Kiedy tam wreszcie docieram robię dłuższy postój. Zjadam resztę bułek i wypijam do końca co zostało w termosie. Przede mną finisz.

Wchodzę na szczyt po 7 godzinach od wymarszu ze Szklarskiej Poręby. Zejście do miasta zajmie mi tylko godzinę, ale jest

najgorsze, bo najbardziej bolesne z dzisiejszych doświadczeń. Nogę muszę mieć wyprostowaną więc zsuwam się trzymając się łańcuchów. Mijam Śląski Dom, Kopę i czarnym szlakiem szybko w dół. Niestety nie ma już łańcuchów, których mógłbym się przytrzymać. O godz. 14:10 wchodzę na asfalt w Karpaczu. Podjeżdża po mnie Agnieszka. Już nie muszę iść, jedynie na obiad i do sklepu po coś do picia. I jak na złość wszędzie schody!

Bilans:

8 godzin

31,5 km

1520 metrów w górę

1420 metrów w dół

Jestem piekielnie z siebie zadowolony. Wprawdzie z powodu nogi musiałem odpuścić podbieganie, ale dzięki temu całość poszła równo, bez pocenia i uczucia zmęczenia. Jednak po powrocie spałem w nocy jak zabity. Tylko z niezrozumiałych względów śnili mi się kibole, którzy rzucali we mnie kamieniami. Nie wiem co gorsze, bo noc wcześniej ganiał mnie po osiedlu bandyta z mieczem samurajskim i rozcinał ludzi na pół a mnie tylko w plecy zranił. Co będzie dziś?

Stawiam, że mnie kosmici porwą...

– END –

---

## 3 zbłąkanych pod Rysami

**Cel** – Rysy (2499 m n.p.m.) – niezdojdyty

**Kiedy** – maj 2007

**Kto** – Dziku



**Tekst– Dziku**

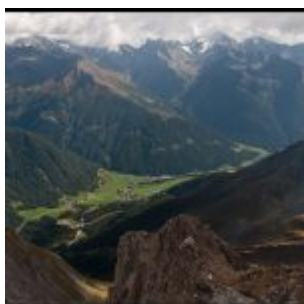
**Zdjęcia– Dziku**



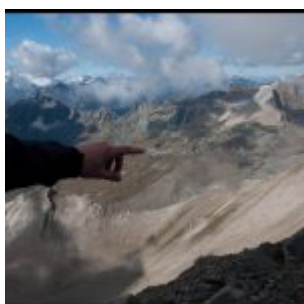
Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejście z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.



Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

Ledwo zdobywszy wiedzę na Zimowym Kursie Turystyki Wysokogórskiej zaopatrzyłem się w nowiutki, błyszczący sprzęt. Liczę, że poradzę sobie z zapięciem moich pierwszych raków i bez przeszkód zdobędę Rysy. Jestem tym żelastwem tak zachwycony, że co raz to najeżdżam na nie obiektywem nagrywając filmiki i robiąc zdjęcia. Jakbym nie wierzył, że tam są, albo jakby miały zaraz zniknąć.

Przy podejściu na Czarny Staw mijam turystów, słyszę komentarz a propos sprzętu i jestem z siebie dumny. Mam w ręku czekan. Jestem gość. Nikt nie wie, że to moje pierwsze przetarcie poza kursem. Na szlaku zalega jeszcze duża ilość śniegu. Gonię do góry i czuję się coraz bardziej słabo. Ewidentny brak kondycji no i dodatkowo wychodzi piwkowanie ze szwagrem poprzedniego wieczoru. W pewnym momencie słyszę dudnienie i zatrzymuję się, myśląc, że to odgłosy imprezy w Morskim Oku. Coś nie tak, kto by tam robił dyskotekę? Dociera do mnie, że to co słyszę i czuję to puls. Jakby mi miała zaraz żyłka pęknąć. Zwalniam tempo obawiając się o zdrowie.

Ze zmęczenia lub z lenistwa skupiam się na śladach na śniegu. Idąc wpatrzony w odbite podeszwy butów nie zwracam uwagi, że kieruję się w złą stronę. Wkrótce dostrzegam dwie osoby w pobliżu grani. Doganiam ich i w ten sposób poznaję Krzyśka i Damiana. Chłopaki rozpoznają mnie z zamieszczonych relacji na stronie. Z wejścia na Rysy rezygnujemy i razem schodzimy na dół. Poniżej Buli obserwujemy dziwne zjawisko. Mianowicie pod górę pnie się po śniegu kobieta w kapeluszu. Na czworakach, bo bez czekana. Pierwsza myśl to, że ktoś ją tu z helikoptera rzucił. Jak już wspomniałem sam jestem tu początkujący ale to co widzę to jakaś abstrakcja. Namawiamy tę panią na zejście. Damian pożyczka jej kijki trekkingowe. Turystka ma mu je oddać w schronisku. My schodzimy dalej i stwierdzamy, że skoro dziś byliśmy tak zgrani w tej naszej nieudolności to trzeba iść za ciosem i pojechać na jakiś 4-tysięcznik w Alpach. Ale wcześniej trzeba wyrównać rachunki tutaj. Podczas prawdziwej zimy.

I tak, w lutym 2008 roku spotykam chłopaków po raz drugi. Tak jak ustaliliśmy zdobywamy Rysy.

Zaś po raz 3-ci Krzyśka i Damiana widzę latem na Bielanach Wrocławskich. Pakuję się wtedy z plecakiem do ich Forda Ka, jedziemy do Chamonix i wchodzimy na Mont Blanc. No bo przecież umawialiśmy się na jakiś 4-tysięcznik.

\*\*\*

Tak zapamiętałem moją pierwszą przygodę z Rysami sprzed 9 lat. Była to zaledwie kilkugodzinna przygoda, zryw, w dodatku zakończony porażką. Czy na pewno? Pomyłka i niezdoyty wówczas szczyt zaowocował wyjątkową znajomością i wspomnianymi sukcesami. Może czasem trzeba zrobić jeden krok w tył, by potem uczynić dwa do przodu?

PS. Starsza pani ze zbocza Rys zeszła bezpiecznie. Może nasz odwrót i to spotkanie uratowało jej zdrowie, albo i życie? Tym łatwiej było odzależować Damianowi kijki, bo niestety jeden podczas zejścia pękł. Ale co tam straty w sprzęcie, ważne, że w ludziach strat nie było.

– END –

---

## Ukraina – Hoverła

**Cel** – Hoverła (2061 m n.p.m.) – zdobyty

**Kiedy** – czerwiec 2007

**Kto** – Dziku

**Tekst**– Dziku

**Zdjęcia**– Dziku

*Dziku'2016: Po prawie 9 latach z przyjemnością przeczytałem relację z mojego pierwszego w pełni samodzielnego wyjazdu. Poniżej prezentuję nową odsłonę. W minimalnym stopniu przeredagowałem tekst, z którego usunąłem niecenzuralne słowa i jeden błąd ortograficzny oraz przebrałem i delikatnie poprawiłem zdjęcia. Zdecydowałem się też dodać kilka komentarzy, to te pisane kursywą.*



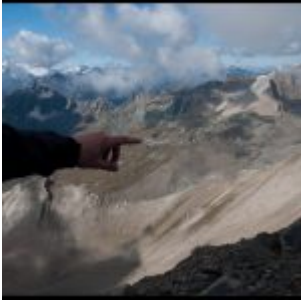
Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejście z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.



Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

*Dziku'2016: Wyjazd na Ukrainę w 2007 roku był jednym z pierwszych wyjazdów związanych tylko i wyłącznie z Koroną Europy. Rok wcześniej nieco przypadkiem zdobyliśmy z przyjaciółmi Ben Nevis w Szkocji, wkrótce potem pojechałem z grupą nieznanych mi wcześniej osób do Rumunii i to zaowocowało wejściem na Moldoveanu. Następnie wziąłem udział w najprawdziwszej turystycznej wycieczce (tak, tak, z biurem podróży) do Grecji i tam, już z własnej inicjatywy wspiąłem się na Mitikas. Zatem Hoverla była moją zaledwie czwartą górą Korony Europy (nie wliczając Śnieżki). Ten brak doświadczenia można wyczuć już w pierwszym akapicie. Niepewność, nieuzasadnione obawy no i przede wszystkim: głębokie przeżywanie wszystkiego wokół, wzmocnione tym bardziej, że jechałem tam sam.*

## **Dzień 1**

Sobota minęła dobrze. Pociąg zaliczał stacje z dokładnością do 15 sek. Bus z Krakowa wyjechał punktualnie a na granicy ominął bocznym gigantyczną kolejkę i już byłem na Ukrainie. W ogóle spodziewałem się jakichś nieprzyjemności na granicy ale się jakoś obyło. No może poza zamieszaniem z Karteczkami. Piszę przez duże K bo te Karteczki to muszą być niezwykle ważne dla Ukraińców. W każdym dialogu kierowców z celnikami wyławiałem słowo Karteczka. Coś tam nawet pani po ukraińsku na mnie nakrzyczała, że niby coś źle wpisałem na Karteczce i żebym dał jej różdżkę to poprawi.

Jako że bilans musi wyjść na zero obawiam się o jutro. Cosik

to za gładko dziś poszło.

Ale żeby nie było że tak wszystko gra gitara to widziałem pod Przemyślem niemiły wypadek. Kolizja samochodu z wozem ciągniętym przez konie. Przykro mi się zrobiło jak zobaczyłem martwego konia na jezdni, ale już sekundę później zryty umysł podsunął mi wizję czarnego plastikowego worka w kształcie konia.

Aha no i jeszcze pierwszy sik po ukraińskiej stronie – w obleśnej ubikacji stojąc przy pisuarze skapała mi na włosy ciecz z groźnej czarnej dziury ziejącej w suficie dokładnie nade mną. Pierwsze co pomyślałem, to że tam u góry też ktoś sika...

## **Dzień 2**

O 8 rano jestem już w Jasinii, która będzie moją bazą wypadową.

Jazda z Iwano-Frankowska busem była dosyć wyjątkowa.

Pokrótce: do busa (miejsc siedzących 18) wchodzi 27 pasażerów, z czego połowa ma wielkie torby, dechy, reklamówki i tylko zwierząt hodowlanych brakuje. Wszyscy zajmują miejsca na chybił trafił – siedzące lub stojące. Dopiero gdy jest komplet i bus odjeżdża zaczyna się cyrk:

Ludzie mający na biletach numery miejsc siedzących zaczynają się rozglądać za swoimi siedzeniami. Fotele oznaczone są metkami cenowymi, z czego część się odkleiła i teraz dojdź tu za pomocą logiki które miejsce jaki ma numer. Po parunastu minutach akrobacji (w pewnym momencie stałem na palcach jednej nogi zgięty w pasie o 90 stopni) wylądowałem na końcu busa. Stamtąd łatwo mogłem stwierdzić, że w ciągu tego krótkiego czasu miejscami zamienili się prawie wszyscy z wszystkimi. Właściwie poza kierowcą nie zauważyłem głowy która by przed odjazdem znajdowała się w tym samym miejscu.

W każdym razie dotarcie z Wrocka w Czarnohorę w 20 h uważam za sukces i nie przejmuję się że do wieczora pada i nie udaje mi się wejść na Bliźnicę.

A wieczorkiem – wychodzi słońce i wyruszam na rekonesans przed



jutrzejszym wyjściem w góry. Spacer owocuje nowymi znajomościami – na wzgórzu, na skraju lasu natykam się na grupkę piknikujących młodych Ukraińców. Nie zjedli mnie, natomiast poczęstowali mnie owczym serem, kiełbasą, mięchem z barana (podobno) no i wódką oczywiście.

Ja mówiłem po polsku, oni po ukraińsku, ale jakoś wszystkim się wydawało, że wszystkich rozumieją.

Jeszcze w miasteczku wałęśliśmy po browarku w rodzinnym barze i połażłem spać. Jutro ruszam na Pietrosa i Howerlę.

### Dzień 3

*Dziku'2016: „Teraz tylko strome zejście, przełącz...” hahaha jak widzę już wtedy miałem specyficzne podejście do tempa i odległości. Tym bardziej, że na jednym ze [zdjęć](#) widzę, jaki to był spacer z samego Pietrosa pod Howerlę. Dodatkowo w plecaku namiot, śpiwór i prowiant. Organizmu fizycznie nie oszczędzałem, dodatkowo od początku do dziś (w nieco mniejszym stopniu) cechuje mnie ignorancja, jeśli chodzi o uzupełnianie kalorii. Ale decyzja, by będąc tak blisko szczytu zawrócić z powodu chmur na choryzoncie zasługuje na pochwałę.*

Podejście na Pietrosul (1855) na początku całkiem przyjemne. Z rana trochę przeszkadzała bardzo gęsta mgła ale kompas dawał radę. Zdjęcie przy pomniku armii czerwonej. Pojawia się słońce. Jest git.

Co jakiś czas spotykam pasterzy, którzy chętnie pomagają – wskazują drogę, dostają świeżutką wodę prosto ze studni, a nawet mleko – do wyboru – słodkie lub kwaśne. Jak tu się nie czuć bezpiecznie.

Po dotarciu niedaleko Pietrosula robię trochę głupią rzecz w związku z nawigacją i zamiast opuścić ścieżkę i iść dalej granią do bliskiego już szczytu zaczynam trawersować grzbiet drogą z drugiej strony cały czas tracąc wysokość. Gdy podejmuję decyzję żeby leźć na skrót prosto na górę jest już trochę za późno i czeka mnie mordercze podejście stromizną przez gęsty las. Najgorsze były gałęzie zaczepiające na każdym kroku o plecak i wbijające się w karimatę no i wizja

ugryzienia przez żmiję na takim odludziu. Po jakimś czasie docieram jednak na połoninki i porządnie zczochny stoję na Pietrosulu (1855).

Tu odbywa się pogrzeb Miśka w Kulce. Misiek pochodzi z Chin (napis 'made in china' na plecach) ale ja znalazłem go wkopanego w piasek na plaży w Grecji. Przygarnąłem go do swojego plecaczka i od tamtej pory towarzyszył mi praktycznie wszędzie. Zarówno codziennie jechał ze mną do pracy jak i na wyprawy wszelakie i w ogóle wszędzie. Dzisiaj sekundę po zrobieniu mu zdjęcia z Pietrosem w tle Misiek stoczył się pomiędzy kamienie kopczyka usypanego na szczycie. Mimo próby rozgrzebania kopczyka nie byłem w stanie go odnaleźć. Myślę że jego historia jednak się nie skończyła i albo odnajdzie go tam jakiś turysta i Misiek znów zacznie podróżować albo sam zorganizuję misję ratunkową. Może to była Jego decyzja żeby tam pozostać... Poprawiłem kopczyk i wbitego w niego patyka i poszedłem na Pietrosa (2020).

Teraz tylko strome zejście, przełącz, znów podejście i stoję na grani 30 min od szczytu Howerli (2061).

Tu wahanie – słyszę jakieś grzmoty, robi się ciemno. Ja zmęczony jak diabli więc nie wbiegnę na górę za szybko. Jest 17:30 a ja od rańca maszeruję z pełnym plecakiem. W sumie tego dnia zrobiłem już około 1800 metrów przewyższenia. Iść nie iść – kręcę się w kółko. Kolejny grzmot, ulewa i już bez żadnych wyrzutów sumienia zbiegam z 1850 na jakieś 1550 m wysokości, gdzie koło chatki strażników parku zamierzam rozbić namiot. Tam niespodzianka. Chatka otwarta a w drzwiach brodacz, który woła że miejsca jest dużo i żebym wszedł do środka. Pierwsze co widzę po wejściu to wyciągnięta w moim kierunku ręka trzymająca butelkę śliwownicy.

Moi towarzysze okazali się czeskimi badaczami owadów. Najstarszy z nich – 51 letni 'Ruda' zwiedził już chyba cały świat. Opowiadał mi o każdym miejscu o które zapytałem. Od Madagaskaru, RPA, Kenię i w ogóle całą Afrykę przez całą Europę po Ural, Tien Szan i Mongolię w Azji. Koleś był chyba naprawdę wszędzie. Po paru godzinach rozmów idziemy kimać. Mi się dostaje miejsce przy oknie. Unoszę troszkę głowę i widzę

czubek Howerli. Tak blisko a ja muszę całą noc czekać. Chyba przez to prawie całą noc nie spałem. No i może jeszcze za sprawą chrapiących Czechów.

#### **Dzień 4**

*Dziku'2016: To o czym już wcześniej wspomniałem, czyli nieoszczędzanie organizmu i niedawanie prawie nic w zamian prędzej czy później wychodzi. Tak było na Ukrainie i tak było na wielu późniejszych wyjazdach. Długo nie potrafiłem się nauczyć, że jak się nie zatankuje to się nie pojedzie. Do tego sprzęt, którego wtedy używałem nie pomagał. Z butami trafiłem ale o odzieży termoaktywnej nie słyszałem. 2 miesiące później w tym samym podkoszulku, klasycznej „żonobijce” będę zdobywał Zugspitze w Alpach. Ze zdjęciami faktycznie miałem problem, klikałem z automatu. W domu byłem rozczarowany, że zdjęcia były tak prześwieczone. Za to pod akapitem zamieściłem krótki filmik dokumentujący wejście na szczyt. Te ostatnie metry to charakterystyczny moment, kiedy niepewność ustępuje. Pojawiają się inne emocje, na różnych szczytach różne. Zależne od wielu czynników, na pewno nie od wysokości nd poziomem morza. I w tej chwili nie liczy się nic innego.*

0 7:20 startuję na górę. Znów te same co wczoraj słupki informujące o wysokości na jakiej się znajduję. 1600, 1700, 1800... odległość, którą wczoraj dysząc pokonywałem chyba z godzinę dziś po prostu przebiegam. W 55 minut od wyjścia z chatki stoję na szczycie (500 metrów przewyższenia). Howerla (2061) – najwyższy szczyt Ukrainy. Widoczki cudne, zresztą jak i podczas całej wycieczki. Nistety trudno mi zrobić dobrą fotkę bo się na fotografice kompletnie nie znam. Obiecuję sobie że następnym razem przestudiuję manuala zanim się gdzieś wybiorę.

W momencie gdy zaczynam schodzić przylatuje bardzo gęsta chmura. Złazę w złym miejscu i gdy chnurę wywiało zdaję sobie sprawę że stoję nad strasznymi stromiznami. Jakbym tamtędy schodził dalej znalazłbym się na dole znacznie szybciej niż wg czasu z przewodnika. Wędrówka połoniną Gropa (1670)

niezapomniana. Po prawej cały czas widoczna Howerla od podstawy aż po szczyt, po lewej Pietros w chmurach, w słuchawkach soundtrack z 'Bandyty' i po prostu żyć nie umierać.

Ostatni piknik, czekoladka, herbatka, rzut oka na Górę i złążę drogą biegnącą w las. Akurat leci kawałek 'Time to go home' – Michael Franti and Spearhead, tylko że ja nie chcę wracać! Do samej Jasinii zaszedłem przez Koźmieszczyk i Łazeszczyznę. Bilans to jakieś 10 – 11 h wędrówki (głównie w dół).

Po 18 gdy leżę umyty na wyrku zaczyna się niezła burza. Kurna coś nade mną czuwa.

Ps. wkładki Wolfskina jakie sobie sprawiłem na wyjazd to był strzał w 10-tkę. Jutro stwierdzę że po 3 (właściwie 4) dniach wędrówki po górach z plecakiem czuję się jakbym się przeszedł w kapciach z łazienki do pokoju. Jednak dzisiaj gorzej z resztą organizmu. Nie wiem co mnie dopadło ale w nocy miałem piekiełko. W każdym razie po ferverie i całonocnych dreszczach, majakach, wizjach śmierci lub co najmniej ukraińskich szpitali rano czułem się zdrowy.

## **Dzień 5**

O 9 wyszło słońce i zapomniałem że cokolwiek mi dolegało. Pobiegłem (niemal dosłownie) na Bliźnicę (1880) – najwyższą górkę pasma Świdowiec. Na grani woła mnie i podbiega dwójka wesołych chłopaków. Starszy przedstawia się jako Jura i podając mi wielką wypasioną lornetkę proponuje obejrzenie widoków. Bardzo mili ludzie. Z Bliźnicy widoki są niesamowite. Obojętnie w którą stronę patrzysz – wszędzie grzbiety Karpat. Z bólem serca zbieram się do zejścia. Włączam playera a tu „Walking down the hill” Trávisa. Czasem się dziwię jak te kawałki sympatycznie się zgrywają z otoczeniem. Podróż na dół to już zupełny odjazd. Z wysokości ok. 1200 metrów łapię stopa – wielką radziecką ciężarówkę (chyba Ził) wracającą z placu budowy w okolicy kurortu narciarskiego w Drahobracie na

Świdowcu. Jazda stromą drogą z głębokimi koleinami, po wielkich głazach lub mostkami z drewnianych bali ułożonymi nad strumykami to niezły hardcore. Szczególnie podobało mi się jako kierowca zjechał na krawędź skarpy nad sporym strumieniem w celu przepuszczenia ciężarówki jadącej z naprzeciwka. Tą megajazdą zaoszczędziłem z 1,5 h marszu.

Czego się nie udało zrobić w niedzielę, udało się w środę. Jest cudnie ale trzeba wracać. Jutro jadę do Iwano-Frankowska, gdzie jestem umówiony z moim 'bus-teamem'.

## **Dzień 6**

Bardzo ładne miasto. Około 250 tys. mieszkańców, uczelnie wyższe, deptak, studenci. Spotykam się tu z dwójką ludzi, których poznałem w busie w drodze z Polski na Ukrainę i bardzo się zgraliśmy. Dorota (krakowska studentka, która jechała do Iwano-Fr. na praktyki) i Ukrainiec Andriy – przesympatyczny człowiek, który od początku pomaga nam jak może. Od popołudnia do chyba 2 albo 3 w nocy szwędamy się nad rzeką, po mieście, parkach i jeziorkach. Podczas tych spacerów nikt nas w tym czasie nie zaczepia i nie robi nam krzywdy. Wszyscy stwierdzamy to samo – nie znając się właściwie wcale czujemy się jakbyśmy się znali od 15 lat. Na koniec ląduję na karimacie w ukraińskim akademiku. Otrzymuję jeszcze propozycję raftingu w weekend, ale z bólem serca muszę odmówić.

## **Dzień 7**

Na dworcu miła niespodzianka – spotykam grupę turystów z Moskwy, których spotkałem na Pietrosie. Oni zrobili jeszcze Popa Iwana z ruinami polskiego obserwatorium na szczycie. No cóż, ja to przełożyłem na następny raz. Bo co do tego że na Ukrainę wrócę to nie mam wątpliwości.

O 14 ma podjechać autobus Kołomyja – Przemyśl. O 14:15 dowiaduję się, że autobus z Kołomyji nawet nie wyjechał i wyjechać nie ma zamiaru. Wraz z pewnym małżeństwem (Polscy Niemcy urodzeni na Ukrainie – bardzo mili i interesujący ludzie), dajemy się porwać ukraińskiemu zawodowemu kierowcy,

który swoim czerwonym złomkiem łamiąc wszystkie zakazy i korzystając z zasady „światło prawie czerwone” dowozi nas do Przemyśla. Po drodze kilka razy jedziemy na czołówkę. Wyprzedzanie na 3-ciego i totalny chaos na okrutnie dziurawych ulicach to na Ukrainie normalka.

Przemyśl – z prawej atakuje mnie zgrzybiały żuł. Z lewej jakiś debil napiernicza w kółko to samo zdanie. Z dołu wychodzą ćpuny a z góry zbiegają łyse dresy. Chowam aparat i mp3 do plecaka. Po raz pierwszy na tej wycieczce naprawdę obawiam się o zdrowie i dobytek. Welcome home.

**– END –**

*Dziku'2016: I na koniec nauczka, którą do dziś pamiętam: jadąc na Ukrainę nie zabiera się słoików z jedzeniem (fasolka po bretońsku, klopsiki, gołąbki...). Za obiad z piwem płaciłem mniej niż za jeden słoik w Polsce. Ale co się ciężarów nadźwigałem i samemu w głowę popukałem to moje.*